





**DICK PHILIP K.**

**Przedludzie**

# PHILIP K. DICK

[www.bookswarez.prv.pl](http://www.bookswarez.prv.pl)

Przez kepe cyprysów Walter, który bawil się w króla gór, zobaczył białą ciężarówkę i wiedział,

co to jest. To ciężarówka aborcyjna, pomyślał, przyjeżdża po jakieś dziecko, żeby je zabrać na

skrobanke poporodowa w ośrodku aborcyjnym.

Może to moi rodzice ją wezwali, pomyślał. Po mnie.

Uciekł i schował się w jeżynach czując ukłucia kolców, ale myślał, że lepsze to, niż gdyby mu

mieli wyssać powietrze z płuc. Tak oni to robią; zbiorowa skrobanke wszystkim dzieciom, które

tam mają. Jest taka specjalna duża komora. Dla dzieci, których nikt nie chce.

Kryjąc się głębiej w jeżynach nadsluchiwał, czy samochód się zatrzymuje. Nadal słyszał silnik.

–Jestem niewidoczny – powiedział sam do siebie cytując Oberona ze *Snu nocy letniej*, którego

grał w piątej klasie. Po tych słowach nikt go już nie widział. Może to magiczne zaklęcie zadziała

i w życiu. Powtórzył więc jeszcze raz "Jestem niewidzialny". Widział jednak, że nie jest. Widział

swoje ręce, nogi, buty i wiedział, że wszyscy – jego matka i ojciec, a zwłaszcza obsługa

ciężarówki aborcyjnej, też mogą go zobaczyć. Jeżeli go znajda.

Jeżeli to jego szukają tym razem.

Szkoda, że nie jest królem. Byłby cały posypany czarodziejskim proszkiem, miałby lśniącą koronę, rządził krainą elfów i mógłby się zawsze zwierzyć wiernemu Pukowi. Albo prosić go o radę. Na przykład, kiedy pokłóciłby się ze swoją żoną Tytania.

**Widocznie, pomyslał, zaklecia nie zawsze sie sprawdzaja.**

**Mruzył oczy od slonca, ale głównie sluchal silnika cieżarówki aborcyjnej. Nadal bylo go slychac i w Walterze narastala nadzieja w miare, jak odglos sie oddalal. Jakis inny dzieciak zostanie zabrany do osrodka aborcyjnego, ktos z drugiego konca ulicy.**

**Roztrzesiony i podrapany z trudem wyplatal sie z jezyn i na miekkich nogach ruszyl w strone domu. Po drodze rozplakal sie, głównie z bólu od licznych zadrapan, lecz takze ze strachu i ulgi.**

**–O Boze! – wykrzyknela matka na jego widok. – Cos ty, na Boga, robil?**

**–Ja... widzialem... cieżarówke aborcyjna – powiedzial przez lzy.**

**–I myslales, ze to po ciebie? W milczeniu kiwnal glowa.**

**–Posluchaj, Walterze – powiedziala Cynthia Best przyklekajac i ujmujac jego drzace dlonie. – Obiecuje ci, ja i twój ojciec obiecujemy ci, ze nigdy cie nie odeslemy do Centrum Powiatowego. Zreszta, jestes juz za duzy. Zabieraja tylko dzieci do dwunastego roku zycia.**

**–A Jeff Vogel?**

**–Rodzice oddali go tuz przed wejciem w zycie nowego prawa. Teraz zgodnie z prawem nie mozna by go zabrac. Ciebie tez nie moga zabrac. Zrozum, ty masz dusze. Prawo mówi, ze dwunastoletni chlopiec ma dusze. Nie mozesz wiec byc zabrany do Centrum Powiatowego. Rozumiesz? Jestes bezpieczny. Ilekroc widzisz cieżarówke aborcyjna, wiedz, ze to nie po ciebie. Nigdy po ciebie. Rozumiesz? To po jakies inne, mlodsze dziecko, które nie ma jeszcze duszy, po przedczlowieka.**

**–Nie czuje, ze uzyskalem dusze; czuje sie tak, jakbym zawsze mial dusze – powiedzial ze spuszczona glowa, nie patrzac na matke.**

**–To kwestia prawna – powiedziala jego matka pospiesznie. – Scisle uzalezniona od wieku. A ty ten wiek osiagnales. Kosciól Swiadków przeforsowal w Kongresie ustawie w tej sprawie... wlasciwie kosciól chcial nawet ustalic nizsza granice; twierdzil, ze dusza wstepuje w cialo w wieku trzech lat, ale uchwalono ustawie kompromisowa. Dla ciebie najwazniejsze jest, ze z punktu widzenia prawa jestes bezpieczny, niezaleznie od tego, co sam czujesz, rozumiesz?**

**–Tak – powiedzial kiwajac glowa.**

**–Przeciez wiesz to wszystko?**

**–A wiesz, jak to jest, kiedy sie czeka codziennie, czy ktos nie przyjdzie i nie**

**wepchnie cie do klatki w ciezarówce... – wybuchnal gniewem i zalem.**

**–Twoje obawy sa nieuzasadnione.**

**–Widzialem, jak zabierali Jeffa Vogela. Plakal, a oni otworzyli tyl ciezarówki, wepchneli go do srodka i zamkneli.**

**–To bylo dwa lata temu. Jesteś tchórzem. – Matka spojrzala na niego gniewnie. – Twój dziadek by cie wychlostal, gdyby cie teraz zobaczyl i uslyszal, co mówisz. Twój ojciec nie. On by sie tylko usmiechal i powiedzial cos od rzeczy. Minely dwa lata i dobrze wiesz, ze przekroczyles limit wieku! Jak... – szukala odpowiedniego slowa. – Jesteś zdeprawowany.**

**–On juz nie wrócił.**

**–Moze ktos, kto chcial miec dziecko, pojechal do Centrum Powiatowego, znalazl go i adoptowal. Moze ma teraz lepszy zestaw rodziców, którzy go lubia. Trzyma sie je tam trzydziesti dni, zanim sie je zlikwiduje. To znaczy uspi – poprawila sie.**

**Walter nie poczul sie uspokoiony. Wiedzial, ze "uspic" kogos to okreslenie z jezyka mafii. Odsunal sie od matki nie szukajac juz u niej pocieszenia. Byla u niego przegrana; ujawnila cos o sobie, jakies zródlo swoich przekonan, mysli, moze nawet czynów. Postepowania ich wszystkich. Wiem, myslal, ze nie jestem inny teraz niz dwa lata temu. Jezeli wedlug prawa mam dusze teraz, to mialem dusze i wtedy albo wcale nie mamy dusz i jedyna prawdziwa rzecz jest ta okropna ciezarówka z zakratowanymi okienkami zabierajaca dzieci nie chciane przez rodziców, którzy korzystaja z rozszerzenia starego prawa do usuwania ciazy, pozwalajacego na zabijanie nie chcianych dzieci, zanim przyszly na swiat. Poniewaz nie mialy "duszy" ani "osobowosci", wolno bylo je wyszac pompa próżniowa, co trwalo mniej niz dwie minuty. Doktor mógł przeprowadzic setke takich zabiegów dziennie i bylo to zgodne z prawem, poniewaz nie narodzone dziecko nie bylo "czlowiekiem". Bylo "przedczlowiekiem". Potem tylko przesunieto date uzyskania czlowieczentstwa.**

**Kongres wprowadzil prosty test okreslajacy przyblizony wiek, kiedy dusza wstepuje w ciało. Wyznaczala to zdolnosc rozwiazywania zadan algebraicznych. Do tego czasu byly tylko ciała, zwierzece instynkty i ciała, zwierzece odruchy i reakcje na bodzce. Jak psy Pawlowa, kiedy widzialy struzke wody saczaca sie spod drzwi laboratorium w Leningradzie; "wiedzialy", ale nie byly ludzmi.**

**Ja chyba jestem czlowiekiem, pomyslal Walter, podnoszac wzrok na szara, surowa twarz matki z twardymi oczami i wyrazem ponurej racjonalnosc. Jestem taki sam jak ty, myslal. Hej, dobrze jest byc czlowiekiem, nie trzeba sie wtedy bac, ze przyjedzie po ciebie biala ciezarówka.**

**–Widze, ze ci ulzylo – zauwazyla matka. – Obnizylam twój próg leku.**

**–Nie jestem taki głupi – powiedział Walter. Przeszło, minelo. Cieżarówka odjechała i nie zabrała go.**

**Ale za kilka dni wróci. Krazy nieustannie.**

**Przynajmniej miał przed sobą te kilka dni. A potem znów ten widok... wolalby nie wiedzieć, że wysysają powietrze z płuc dzieci, które tam wywoza, myślał. Tak je likwidują. Dlaczego? Ojciec**

**mówił, że tak jest taniej. Oszczędza się pieniądze podatników.**

**Pomyślał o podatnikach i o tym, jak taki podatnik może wyglądać. Jak ktoś, kto wykrzywia się gniewem na widok każdego dziecka. Kto nie odpowiada dzieciom na pytania. Chuda twarz wiecznie skrzywiona, oczy rozbiegane. A może tłusta; jedno albo drugie. Bardziej przerazala go ta chuda; nie cieszyła się życiem i nie chciała nowego życia. Wysyłała komunikat "Umrzyj, idź sobie, przepadnij, zniknij". Cieżarówka aborcyjna jest jej narzędziem i dowodem na jej istnienie.**

**–Mamo – spytał – jak można zamknąć Centrum Powiatowe? Wiesz, klinike aborcyjna, do której zabierają niemowlęta i małe dzieci.**

**–Należy się zwrócić z petycją do Rady Powiatowej.**

**–A wiesz, co ja bym zrobił? Poczekałbym, aż tam nie będzie dzieci, tylko pracownicy, i wrzucił tam bombę.**

**–Nie mów tak! – przerwała mu gniewnie matka i jej twarz nabrała surowego wyrazu chudego podatnika. Poczul lek, własna matka budziła w nim lek. Zimne i metne oczy są zwierciadłem pustki, nie ma za nimi duszy. To wy nie macie dusz, pomyślał, wy i wasze chude wezwania do nieistnienia. Nie my. I wybiegł na dwór bawić się dalej.**

**Kilkoro innych dzieci też widziało ciężarówkę. Stały teraz razem przerzucając się co jakiś czas pojedynczymi frazami, ale głównie kopiąc kamyczki i piasek, czasem rozdeptując szkodliwego owada.**

**–Po kogo przyjechała ciężarówka? – spytał Walter.**

**–Po Fleischhackera. Earla Fleischhackera.**

**–Złapali go?**

**–Jasne. Nie słyszales, jak wrzeszczał?**

**–Czy jego starzy byli wtedy w domu?**

**–Nie, wyjechali wcześniej, powiedzieli mu, że jada wymienić olej w samochodzie.**

**–Czy to oni wezwali ciężarówkę?**

**–Jasne. Prawo mówi, że to muszą zrobić rodzice. Ale stchórzyli i nie chcieli być w domu, kiedy ciężarówka przyjedzie. A on strasznie wrzeszczał, może byłeś za daleko, żeby usłyszeć, ale naprawdę strasznie wrzeszczał.**

**–Wiesz, co powinniśmy zrobić? – powiedział Walter. – Podpalić ciężarówkę i załatwić kierowcę. Wszystkie dzieci spojrzały na niego z pogardą.**

**–Wpakuja cię na resztę życia do domu wariatów, jak zrobisz coś takiego.**

**–Czasami tak robią – poprawił Pete Bride – a czasami dają ci nową, społecznie dostosowaną osobowość.**

**–No to co mamy zrobić? – spytał Walter.**

**–Ty skończyłeś dwanaście lat i nic ci nie grozi.**

**–A jak zmienia prawo? – Zreszta świadomość, że był teoretycznie bezpieczny, nie przynosiła mu ulgi. Ciężarówka przyjeżdżała po inne dzieci i nadal napawała go strachem. Myślał o młodszych dzieciach tam, w Centrum wyglądających przez druciany płot godzinę za godziną, dzień za dniem, liczących czas z nadzieją, że ktoś przyjedzie i je zaadoptuje.**

**–Byłeś tam kiedy? – spytał Pete'a Bride'a. – W Centrum Powiatowym? Wszystkie te naprawdę małe dzieciaki, prawie niemowlaki, może roczne. Nie wiedzą nawet, co je czeka.**

**–Te małe idą do adopcji – powiedział Zack Yablonski. – To te starsze nie mają szansy i to ich widok jest trudny do zniesienia. Zagadują ludzi, którzy przychodzą i starają się pokazać z najlepszej strony, udają, że są miłe. Ale ludzie wiedzą, że nie oddano by ich tutaj, gdyby nie byli... no wiesz, nie chciane.**

**–Wypuscimy im powietrze z kół – powiedział Walter, który nie przestawał myśleć.**

**–W ciężarówce? A wiesz, że jak się wrzuci kulke na mole do baku, to po tygodniu silnik wysiada? Moglibyśmy to zrobić.**

**–Ale wtedy by nas scigali – powiedział Ben Blaire.**

**–I tak nas scigają – zauważył Walter.**

**–Ja myślę, że powinniśmy podpalić ciężarówkę – powiedział Harry Gottlieb – ale w środku mogą być dzieci. Wtedy one też by się spaliły. Ciężarówka zabiera... bo ja wiem... może piecioro dzieci z całego powiatu.**



**–Wiesz, że lapa też psy? – powiedział Walter. – I koty. Tamta ciężarówkę widzi się może raz na miesiąc. Nazywa się to hycel. Poza tym wszystko jest tak samo; wpędzają je do wielkiej komory, wysysają im powietrze z płuc i one umierają. Robią to nawet z małymi zwierzętami!**

**–Nie uwierze, póki nie zobacze – powiedział Harry Gottlieb szyderczo. – Ciężarówka, która łapie psy, też coś!**

**Walter jednak wiedział, że to prawda. Widział samochód hycła dwukrotnie. Koty, psy i głównie my, pomyślał ponuro. Zresztą, jak zaczęli od nas; to tylko naturalne, że doszli do zabijania zwierząt domowych; różnica między nami nie jest znów taka wielka. Ale jakim trzeba być człowiekiem, żeby to robić, nawet jeżeli jest to zgodne z prawem? "Jedne prawa ustanawia się, żeby je przestrzegać, inne, żeby je łamać" przypomniał sobie zdanie z książki, którą czytał. Powinnismy zacząć od spalania ciężarówkę hycła, pomyślał, to jest najgorsze. Dlaczego tak się dzieje, rozmyślał, że im bardziej bezbronna istota, tym łatwiej jest ją niektórym ludziom zabić? Jak dzieci w łonie matki, pierwotne skrobaki, usuwanie płodu czy przedludzi, jak się to dzisiaj nazywa. Jak one się mają bronić? Kto im pomoże? Tyle żywych istot, po setce dziennie na każdego doktora... i wszystkie bezbronne, milczące, a zaraz potem martwe. To świnię, myślał, dlatego to robią. Bo wiedzą, że mogą to robić, wykorzystują swoją siłę. To dlatego małenstwo, które chciało się cieszyć życiem, zostaje wysane w ciągu niespełna dwóch minut. I doktor przechodzi do następnej kobiety.**

**Powinna być jakaś organizacja, myślał, podobna do mafii. Żeby likwidować likwidatorów. Wynajęty człowiek podchodzi do jednego z tych doktorów, wyjmując rurę i wsysa do niej doktora, który kurczy się do rozmiarów płodu. Płód doktora ze stetoskopem wielkości główki od szpilki... rozesmiał się na samą myśl.**

**Dzieci nie wiedzą? Dzieci wiedzą wszystko, wiedzą za dużo. Ciężarówka aborcyjna w drodze grała wesołą piosenkę. Biegnie z góry dwoje dzieci Od źródła w parku...**

**System głośników zbudowany specjalnie przez Ampex dla General Motors nadawał nieustannie te melodie, z wyjątkiem chwil, kiedy ciężarówka zbliżała się do ofiary. Wówczas kierowca wyciszał głośniki i po cichu szukał właściwego domu. Jednak kiedy tylko miał niechciane dziecko w pudle ciężarówki i albo wracał do Centrum Powiatowego, albo wyruszał po następnego przedczłowieka, włączał z powrotem: Biegnie z góry dwoje dzieci Od źródła w parku...**

**"Jas się potknął i już leci na złamanie karku", dokończył w myśli Oscar Ferris, kierowca ciężarówki numer trzy. Czy to aby o kark chodzi? zastanawiał się. Może sobie złamał coś innego. Pewnie się tym bawił, sam albo razem z Malgosią. Źródło w parku! Dobrze wiem, co tam robili w krzakach. Tyle że Jas się potknął i złamał sobie swój interes. – Dobrze ci tak, Jasiu -powiedział na głos z wprawą prowadząc**

**czteroletnia ciężarówkę po łagodnych krzywiznach**

**kalifornijskiej Autostrady Numer Jeden.**

**Dzieciaki to swintuchy, pomysł, i lubia swinskie zabawy.**

**Okolica była dzika i bezludna, w wawozach i na polach ukrywało się wiele zbiegłych dzieci, miał**

**wiecz oczy szeroko otwarte. I słusznie, bo z prawej strony drogi zmykał jakiś może sześciolatek**

**małec. Ferris natychmiast wcisnął guzik uruchamiający syrenę ciężarówki. Chłopiec zamarł**

**przerazony, czekając, aż ciężarówka nadal grając "Biegnij z góry dwój dzieci" podjedzie i**

**zatrzyma się obok niego.**

**–Okaz kartę C – powiedział Ferris nie wysiadając z ciężarówki; wysunął tylko przez okno rękę,**

**demonstrując brązowy mundur z naszywką, oznaki jego władzy.**

**Chłopiec był wychudzony, jak wielu małych uciekinierów, ale, z drugiej strony, nosił okulary. Potargany, w dzinsach i podkoszulku, wpatrywał się z przerażeniem w Ferrisa nie robiąc żadnego ruchu, żeby okazać papiery.**

**–Masz kartę C czy nie? – spytał Ferris.**

**–C... co to jest karta C? Ferris urzędowym głosem poinformował chłopca o przysługujących mu prawach.**

**–Jedno z twoich rodziców albo twój opiekun prawny wypełnia formularz 36-W, który stanowi legalne potwierdzenie, że jesteś dzieckiem chcianym. Ze oni, on lub ona chce cie mieć. Nie masz tego? To z punktu widzenia prawa jesteś pozbawiony opieki, nawet jeżeli twoi rodzice chcą cie zatrzymać. Podlegają karze pięciuset dolarów.**

**–Miałem, ale zgubiłem – powiedział chłopiec.**

**–To kopia będzie w kartotece. Wszystkie te dokumenty są mikrofilmowane. Zawieź cie do...**

**–Do Centrum Powiatowego? – Patykowate nogi zatrzesły się ze strachu.**

**–Rodzice maja trzydziesci dni na wypeInnienie formularza 36-W. Jezeli nie dostarcza go do tego czasu...**

**–Moja mama i tata zawsze sie kłóca. Teraz jestem z tata.**

**–I nie dal ci karty C? – W poprzek kabiny byla przymocowana strzelba. Przy zatrzymywaniu malego zbiega wszystko moze sie zdarzyc. Odruchowo Ferris spojrzal na strzelbe. Byla na swoim miejscu. Uzyl jej tylko pieciokrotnie w calej swojej karierze wykonawcy prawa. Mogla rozniesc czlowieka na strzepy. – Musze cie zabrac – powiedzial otwierajac drzwi kabiny i wyjmujac z kieszeni kluczyki. – Jest tam juz jeden chlopak, nie bedzie wam sie nudzic.**

**–Nie – powiedzial malec. – Nie wsiade. – Mrugajac stal na wprost Ferrisa, uparty i niewzruszony jak kamien.**

**–Pewnie sie nasluchales historii o Centrum Powiatowym. Tam sie usypia tylko kretynów i zboczcenców. Kazde mile, porzadnie wygladajace dziecko zostaje adoptowane. Ostrzyzemy cie i doprowadzimy do porzadku; az bedziesz wygladal jak ktos profesjonalnie zadbany. Chcemy ci znalezc dom, o to nam tylko chodzi. Malo jest takich... wiesz... chorych psychicznie albo fizycznie, których nikt nie chce. Ciebie jakas zamozna osoba zlapie od razu; przekonasz sie. Nie bedziesz musial walesac sie tutaj bez opieki rodzicielskiej. Bedziesz mial nowych rodziców z kupa forsy, którzy cie zarejestruja. Rozumiesz? Tam, gdzie cie zawioze, jest tylko tymczasowe miejsce zamieszkania, gdzie mozesz sie spotkac z przyszlymi nowymi rodzicami.**

**–A jezeli nikt mnie nie zaadoptuje w ciagu miesiaca?**

**–Co tam, tu tez mozesz spasc z urwiska do oceanu. Nie martw sie. Biuro Centrum skontaktuje sie z twoimi naturalnymi rodzicami i najprawdopodobniej przyjada po ciebie z formularzem 15 A, moze jeszcze nawet dzisiaj. A ty sie przejedziesz i poznasz duzo nowych kolegow.**

**–Nie – powiedzial chlopiec.**

**–Informuje cie – powiedzial Ferris juz innym glosem – ze jestem przedstawicielem wladz**

**powiatu. – Zeskoczyl na ziemie i pokazal chlopcu Isniaca metalowa odznake. – Jestem Oficer Pokoju Ferris i rozkazuje ci wsiasc do ciezarówki.**

**W tej chwili zmeczonym krokiem zblizyl sie do nich wysoki mezczyzna. Podobnie jak chlopiec ubrany byl w dzinsy i podkoszulek, ale nie nosil okularów.**

**–Czy jest pan ojcem tego chlopca? – spytal Ferris.**

**–Zabiera go pan do rakarni? – odezwał się ochryplym głosem mężczyzna.**

**–My nazywamy to schroniskiem dla bezdomnych dzieci – odpowiedział Ferris. – Nazwa "rakarnia" używana jest przez różnych ekstremistów i hipisów i celowo wypacza obraz naszej pracy.**

**–Ma pan tam dzieci w klatkach, prawda? – spytał mężczyzna wskazując ciężarówkę.**

**–Chciałbym zobaczyć pański dowód – powiedział Ferris. – I dowiedzieć się, czy był pan kiedyś aresztowany.**

**–Aresztowany i zwolniony czy aresztowany i skazany?**

**–Proszę odpowiedzieć na pytanie – Ferris okazał czarną odznakę, która legitymował się wobec dorosłych jako Powiatowy Oficer Pokoju. – Kim pan jest? Proszę okazać dowód.**

**–Nazywam się Ed Gantro – powiedział mężczyzna – i jestem notowany. Kiedy miałem osiemnaste lat, ukradłem z zaparkowanej ciężarówki cztery skrzynki coca-coli.**

**–Czy został pan ujęty na gorącym uczynku?**

**–Nie, kiedy odnosiłem puste butelki, żeby dostać kaucję. Wtedy mnie złapali. Odsiedziałem sześć miesięcy.**

**–Czy ma pan kartę C dla swojego syna?**

**–Nie mieliśmy dziewięćdziesięciu dolarów, żeby ją wykupić.**

**–Teraz będzie pan musiał zapłacić pięćset dolarów. Trzeba było ją wykupić. Teraz radzę skorzystać z adwokata. – Ferris podszedł do chłopca i oficjalnie oświadczył: – Chciałbym, żeby dołączył do innych młodych ludzi w tylnej części pojazdu. Niech mu pan powie, żeby wykonywał moje polecenia – zwrócił się do mężczyzny.**

**–Tim, wsiadaj do tej przeklętej ciężarówki – powiedział mężczyzna po chwili wahania. – Wynajmiemy adwokata, załatwimy ci kartę C. Nie ma co się stawiać, z prawnego punktu widzenia jesteś bezdomny.**

**–"Bezdomny" – powtórzył chłopiec patrząc na ojca.**

**–Dokładnie – powiedział Ferris. – Ma pan trzydzieści dni na zabranie...**

**–Czy łapie pan też koty? – spytał chłopiec. – Sa tam jakies koty teraz? Ja bardzo lubie koty, sa fajne.**

–Ja zajmuje sie tylko przedludzi. Takimi jak ty – powiedzial Ferris otwierajac kluczem tylne drzwi ciezarówki. – Staraj sie nie oddawac moczu w ciezarówce, potem cholernie trudno pozbyc sie plam i smrodu. Chlopiec nie bardzo rozumial; przenosil wzrok z ojca na Ferrisa.

–Nie zalatwiaj sie w ciezarówce – wyjasnil mu ojciec. – Chca ja utrzymac w czystosci, bo to obniza koszta wlasne – dodal z ponurym szyderstwem.

–W przypadku bezdomnych psów i kotów – powiedzial Ferris – strzela sie je na miejscu albo wyklada zatruta przynete.

–Tak, znam te trucizne – powiedzial ojciec chlopca. – Zwierze to zjada i potem powoli umiera na krwotok wewnetrzny.

–Bez bólu – podkreslil Ferris.

–Czy to nie lepsze niz wysysanie im powietrza z pluc? – powiedzial Ed Gantro. – Masowe duszenie?

–No, jesli chodzi o zwierzeta...

–Mam na mysli dzieci. Takie jak Tim. – Ojciec stal obok niego i obaj zajrzeli do srodka ciezarówki. W mroku mozna bylo dostrzec dwa ciemne ksztalty skulone w najdalszym kacie w postawie wyrazajacej skrajna rozpacz.

–Fleischhacker! – zawolal Tim. – Przeciez ty miales karte C!

–Z powodu braków energii i paliwa – mówil Ferris – nalezy drastycznie zmniejszyc liczbe ludnosci. W przeciwnym razie za dziesiec lat nie starczy zywnosci dla nikogo. To jest pierwsza faza...

–Mialem karte C – powiedzial Earl Fleischhacker – ale starzy mi ja zabrali. Nie chcieli mnie wiecej, wiec mi ja zabrali i wezwali ciezarówke aborcyjna. – Glos mu drzal, wyraznie tlumil placz.

–Czym sie różni pieciomiesieczny plód od tego, co mamy tutaj? – mówil Ferris. – W obu przypadkach mamy do czynienia z nie chcianym dzieckiem. Po prostu zliberalizowano przepisy.

–I pan sie zgadza z tymi prawami? – spytal ojciec Tima patrzac mu w oczy.

–To jest sprawa Waszyngtonu, to oni decyduja, co rozwiaze nasze problemy w tych dniach kryzysu – odpowiedzial Ferris. – Ja tylko egzekwuje uchwały. Gdyby zmieniono to prawo, to cóz, wozilbym puste opakowania na makulature albo cos innego i bylbym tak samo zadowolony.

**–Tak samo zadowolony? Jest pan zadowolony ze swojej pracy?**

**–Mam okazje jezdzić po okolicy i poznawac nowych ludzi odpowiedzial Ferris automatycznie.**

**–Pan jest nienormalny – powiedzial Ed Gantro, ojciec Tima. – Ten plan poporodowej aborcji wynika z wczesniejszego prawa do usuwania ciazy, kiedy dziecko nie mialo zadnych praw i moglo byc usuwane jak narosl. Niech pan patrzy, do czego doszlismy. Jezeli wolno zabiec bez wyroku sadu nie narodzone dziecko, to dlaczego nie zabijac juz narodzonych? To, co laczy oba przypadki, to calkowita bezbronnosc ofiar; mordowany organizm nie ma zadnej szansy ani mozliwosci obrony. Wie pan co? Niech pan mnie tez zabierze. Razem z trójka dzieci.**

**–Ale prezydent i Kongres ustanowili, ze po ukonczeniu dwunastego roku zycia czlowiek ma dusze – powiedzial Ferris. – Nie moze pana zabrac. To byloby niezgodne z prawem.**

**–Ja nie mam duszy – powiedzial ojciec Tima. – Skonczyłem dwanaście lat i nic sie nie stalo. Niech mnie pan tez zabiera. Chyba ze potrafi pan znalezc moja dusze.**

**–O rany – jeknal Ferris.**

**–Jezeli nie potrafi pan pokazac mi mojej duszy – powiedzial ojciec Tima – jezeli nie potrafi pan wskazac mi jej palcem, to domagam sie, zeby mnie pan zabral jako nie różniacego sie od tych dzieci.**

**–Bede musial porozumiec sie przez radio z Centrum Powiatowym, zeby zobaczyc, co oni na to powiedza.**

**–Niech pan to zrobi – powiedzial ojciec Tima i podsadzil go a potem sam z trudem wdrapal sie na ciezarówke, podczas gdy Oficer Pokoju Ferris, po wszystkich oficjalnych identyfikacjach, rozmawial przez radio.**

**–Mam tu mezczyzne, bialego, okolo trzydziestki, który nalega, zeby go przewiezc do Centrum Powiatowego razem z jego malym synem – mowil Ferris do mikrofonu. – Twierdzi, ze nie ma duszy; co, wedlug niego, kwalifikuje go do grupy przedludzi. Nie rozporzadzam zadnym sposobem na wykrycie obecności duszy, w kazdym razie nie na tym odludziu; niczym, co mogloby później zadowolic sad. W ogóle wyglada na osobnika inteligentnego i pewnie potrafi rozwiazywac zadania algebraiczne. Ale...**

**–Zezwalam na dostarczenie go – odezwal sie w radiu glos jego przelozonego. – Zajmiemy sie nim na miejscu.**

**–Zajmiemy sie panem w miescie – zwrócił sie Ferris do ojca Tima, który wraz z trzema**

**mniejszymi postaciami przykucnal w ciemnym wnetrzu cieżarówki. Ferris zatrzasnal drzwi i**

**zamknal je na klucz, co bylo dodatkowym zabezpieczeniem, gdyz chlopcy byli juz unieruchomieni elektronicznie opuszczanymi przegrodami, i zapuscil silnik.**

**Biegnie z górki dwoje dzieci**

**Od źródelka w parku...**

**Ktos tu sobie cos zlamie, myslal Ferris jadac kreta droga, i to nie bede ja. Uslyszal, jak ojciec Tima rozmawia z chlopcami.**

**–Nie znam algebry, nie moge wiec miec duszy.**

**–Ja znam – powiedzial maly Fleischhacker pociagajac nosem – ale mam dopiero dziewiec lat i to sie nie liczy.**

**–To wlasnie chce wykorzystac, kiedy bede przedstawiac swoja sprawe w Centrum. Juz nawet dzielenie z ulamkami szlo mi z trudem. Nie mam duszy. Jestem taki sam jak wy trzej.**

**–Tylko nie naswincie mi w cieżarówce – krzyknal Ferris. – Rozumiecie? To nas kosztuje...**

**–Nie tłumacz mi – odpowiedzial ojciec Tima – bo i tak nie zrozumie. To dla mnie zbyt skomplikowane, wszystkie te pro rata i inne terminy fiskalne i monetarystyczne. Wioze wariata, pomyslal Ferris i poczul zadowolenie, ze ma w zasiegu reki strzelbe. – Wiecie, ze na swiecie brakuje wszystkiego – krzyknal za siebie – energii, soku jablkowego, paliw i chleba; musimy zmniejszyc liczbe ludnosci, a patogenne skutki pigulki...**

**–My nie znamy takich trudnych słów – przerwal mu ojciec Tima.**

**–Zerowy przyrost ludnosci – powiedzial Ferris zly i zbity z tropu – to jest jedyna odpowiedz na kryzys zywnosciowy i energetyczny. To jest, w morde, to jest jak z tymi królikami, sprowadzonymi do Australii, które nie mialy naturalnych wrogów i mnozily sie, dopóki...**

**–Mnozyc umiem – powiedzial ojciec Tima. – I dodawac, i odejmowac. Ale to wszystko. Cztery zwariowane króliki skaczace po szosie, pomyslal Ferris. Ludzie zasmiecaja srodowisko naturalne, myslal. Ciekawe, jak wygladaly te okolice, zanim pojawil sie tu czlowiek? Cóż, dzieki planowi poporodowego usuwania ciazy realizowanemu we wszystkich powiatach USA moze sie jeszcze o tym przekonamy.**

**Moze znów zobaczymy przed soba dziewiczy kraj. Jacy my, pomyslal. Pewnie nie bedzie zadnych nas. Jakies gigantyczne myslace komputery beda obserwowac wideo receptorami krajobraz i stwierdza, ze im sie podoba. Ta mysl poprawila mu humor.**

**–Zróbmy sobie skrobanke! – zaproponowala z ozywieniem Cynthia wchodzac do domu obladowana syntetyczna zywnoscia. – Czy to nie byloby mile? Czy to cie nie podnieca?**

**–Najpierw musisz zajsc w ciaze – zauwazyl ironicznie jej maz, Ian Best. – Zamów wizyte u doktora Guido, to mnie bedzie kosztowac najwyzej piecdziesiat czy szescdziesiat dolarów, i kaz sobie usunac sprezynke.**

**–Zdaje sie, ze sama mi sie wyslizgnela. Moze, gdyby... – radosnie potrzasnela ladna ciemnowlosa glówka. – Prawdopodobnie nie dziala jak nalezy od roku. Moze wiec juz jestem w ciazy.**

**–Mozesz dac ogloszenie w Wolnej Gazecie: "Potrzebny od zaraz ktos, kto wyciagnie domaciczny srodek antykoncepcyjny" – kwasno skomentowal jej maz.**

**–Ale skrobanki sa teraz takie modne – mówila Cynthia do meza, który szedl do glównej szafy odwiesic swój prestizowy krawat. i klasowa marynarkę. – Spójr, co my mamy? Mamy dziecko. Waltera. Ilekroc ktos przychodzi z wizyta i widzi go, wiem, ze sie zastanawia "Jak to sie stalo?" To bardzo zenujace. Te skrobanki, jakie robia teraz kobietom we wczesnym okresie, kosztuja sto dolarów... cena dziesieciu galonów benzyny! A ma sie temat do rozmowy z kazdym, kto wpadnie.**

**Ian odwrócił sie do niej.**

**–Czy mozna zabrac sobie plód? – spytal spokojnym glosem. – Przyniesc do domu w sloju albo pokryty specjalna luminescencyjna farba, zeby swiecil w nocy?**

**–W dowolnym kolorze!**

**–Embrion?**

**–Nie, slój. Mozna tez wybrac kolor plynu. To jest roztwór konserwujacy, wiec praktycznie jest to wydatek na cale zycie. Chyba daja nawet pisemna gwarancje. Ian zalozyl rece na piersi, zeby zachowac spokój: stan alfa.**

**–Czy zdajesz sobie sprawe, ze sa ludzie, którzy chca miec dzieci? Nawet zwykle, przecietne dzieci? Ludzie, którzy co tydzien jezdzą do Centrum Powiatowego w poszukiwaniu niemowlat? Te pomysly... cala panika swiatowa na temat przeludnienia. Dziewiec bilionów istot ludzkich, stloczonych jedne na drugich we wszystkich miastach kuli ziemskiej. Moze gdyby to tak szlo dalej... – wzruszyl**



ramionami. – Tymczasem jednak mamy za mało dzieci. Co to, nie oglądasz telewizji i nie czytasz "Timesa"?

–Ale to taki kłopot – powiedziała Cynthia. – Dzisiaj, na przykład, Walter przyszedł do domu zalamany, bo w okolicy kazała ciężarówka aborcyjna. Zajmowanie się nim jest strasznie uciążliwe. Tobie dobrze, bo ty jesteś w pracy, ale ja...

–Wiesz, co ja bym zrobił z tą gestapowską ciężarówką śmierci? Wziąłbym dwóch kumpli z wojska z karabinami maszynowymi i ustawił ich z dwóch stron drogi. I kiedy to pudło by podjechało...

–To nie jest żadne pudło, tylko klimatyzowana ciężarówka.

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i poszedł do baru w kuchni, żeby zrobić sobie drinka. Szkocka będzie dobra, pomyślał. Szkocka z mlekiem, dobry przedobiedni drink. Kiedy sobie przygotowywał napój, wszedł jego syn Walter. Był nienaturalnie blady.

–Przejeżdżała dzisiaj ciężarówka aborcyjna, co? – spytał Ian.

–Myślałem, że może...

–Nigdy w życiu. Nawet gdybyśmy z twoją matką poszli do adwokata i podpisali dokument, formularz NC, to i tak jesteś za duży. Możesz być spokojny.

–Niby wiem – powiedział Walter – a jednak...

–Nie dopytuj się, komu bije dzwon; on zawsze bije tobie – zacytował (nie dokładnie) Ian. – Posłuchaj Walt, coś ci powiem. – Pociągnął długi łyk szkockiej z mlekiem. – Istota tego wszystkiego jest morderstwo. Zabić ich, kiedy są rozmiarów paznokcia albo piłki tenisowej, a jak nie, to później wyssać powietrze z płuc dziesięcioletniego chłopca i usmiercić go. Propaguje to pewien typ kobiet. Kiedyś nazywano je "kobietami kastrującymi". Może wtedy była to odpowiednia nazwa, ale tym kobietom, tym zatwardziałym rzeźniczkom, chodzi o całego chłopca albo mężczyznę, a nie tylko o tę jego część, która decyduje o jego męskości, one chcą zabić wszystkich mężczyzn, rozumiesz?

–Nie – odpowiedział Walter, ale w pewien niejasny i przerażający sposób rozumiał. Ian pociągnął następny łyk.

–A jedna z nich mieszka tutaj – mówił dalej. – Pod jednym dachem z nami.

–Kto mieszka z nami?

–Ktos, kogo szwajcarscy psychiatrzy nazywają Kindermörder. – Ian specjalnie użył

słowa, którego jego chłopiec nie mógł znac. – Wiesz co? – powiedział. – Ty i ja moglibyśmy wsiaść do pociągu i jechać na północ, aż byśmy dojechali do Vancouver w Kanadzie, a tam moglibyśmy popłynąć promem na wyspę Vancouver i tyle by nas widziano:

–A co z mama?

–Wysyłałbym jej co miesiąc pieniądze i to by ją urzażało.

–Tam jest zimno, prawda? – spytał Walter. – Brakuje im paliwa i nosza...

–Mniej więcej jak w San Francisco. Bo co? Przeraza cię noszenie kilku swetrów i siedzenie przy kominku? Czy to, co widziałeś dzisiaj, nie było gorsze?

–Było – ponuro kiwnął głową Walter.

–Moglibyśmy mieszkać na jakiejś wysepce koło Vancouver i uprawiać kawałek ziemi. Można tam sadzić różne rośliny i one rosną. Cieżarówka tam nie dojedzie; nie zobaczysz jej już nigdy więcej. W Kanadzie mają inne prawa. I kobiety tam są inne. Znałem kiedyś dziewczynę stamtąd, dawno temu. Miała długie czarne włosy, bez przerwy paliła papersy, nigdy nic nie jadła i nie przestawała mówić. A tutaj żyjemy w cywilizacji, w której dążenie kobiet do mordowania własnych... – Ian przerwał, bo do kuchni weszła jego żona.

–Nie pij więcej tego swinstwa – powiedziała – bo się porzygasz.

–Okay – zawołał Ian ze złością. – Okay!

–I nie podnos glosu – powiedziała Cynthia. – Pomyślałam, że moglibyśmy dziś zjeść obiad na mieście. W telewizji mówili, że u Dal Reya pierwsi goście dostają stek.

–Mają tam surowe ostrygi – powiedział krzywiąc się Walter.

–"Błękitne kropki" – uściśliła Cynthia. – W muszlach, na łodzi. Przepadam za nimi. No jak, Ian? Idziemy?

–Surowa ostryga – powiedział Ian do syna – najbardziej na świecie przypomina to, co ginekolog...

–Umilkł. Cynthia patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, syn nic nie rozumiał. – Zgoda – powiedział – ale ja zamówię stek.

–Ja też – dodał Walter. Skonczywszy drinka Ian spokojnym głosem spytał:

–Kiedy to ostatni raz przygotowałaś obiad w domu? Dla nas trojga?

**–W piątek zrobilam wam wieprzowe uszy i risotto. Wiekszosc tego poszla na smietnik, bo bylo to cos nowego, z nieobowiazkowej listy. Pamietasz, mój drogi?**

**–Oczywiscie ten typ kobiety mozna czasem, a nawet czesto, spotkac również tam – mówił Ian do syna, nie zwracając uwagi na zone. – Istniał on we wszystkich czasach i kulturach. Ale ze w Kanadzie nie zezwala sie na aborcje poporodowe... – Urwał. – To mleko przeze mnie przemawia -wyjasnil zonie. – Dodaja do niego teraz siarki. Nie zwracaj uwagi albo podaj kogos do sadu; wybór nalezy do ciebie.**

**–Czy znów snujesz fantazje, ze mnie porzucisz? – Cynthia przyjrzała mu sie uważnie.**

**–Ja tez – wtracil Walter. – Tato zabiera mnie ze soba.**

**–Dokad? – spytala Cynthia niewinnie.**

**–Dokad nas szyny poniosa – powiedzial Ian.**

**–Jedziemy na wyspe Vancouver w Kanadzie – dodal Walter.**

**–Ach tak? – powiedziala Cynthia.**

**–Tak – odezwal sie Ian po chwili.**

**–A co, do cholery, ja mam tu robic, jak wy wyjedziecie? Isc pod latarnie? Z czego bede splacac raty za różne...**

**–Bede ci co miesiac wysylac czeki – powiedzial Ian. – Potwierdzone przez powazne banki.**

**–No pewnie. Jasne. Nie inaczej.**

**–Moglabys pojechac z nami – powiedzial Ian. I lapac ryby wskakujac do Zatoki Angielskiej i miazdzac je na smierc swoimi ostrymi zebami. Moglabys w ciagu jednej nocy wytepic wszystkie ryby w Kolumbii Brytyjskiej. Tysiace zmiazdzonych ryb, które nie rozumieja, co sie stalo... przed chwila plynely sobie spokojnie, a tu nagle ten potwór, ten straszliwy rybobójca z jednym**

**swiecacy okiem posrodku czola, rzuca sie na nie i miazdzy je na miazge. Wkrótce zrodzi sie legenda. Takie wieści szybko sie szerza. Wśród ostatnich ryb, które przezyja.**

**–Tak, ale, tato, co bedzie, jak zadna nie przezyje?**

**–W takim razie wszystko bedzie na próżno, poza osobista satysfakcja twojej matki, ze zagryzła na smierc cały gatunek istot w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie rybolówstwo**

**jest najważniejszym przemysłem i zapewnia przeczycie innym gatunkom.**

**–Ale wtedy wszyscy mieszkańcy Kolumbii Brytyjskiej straca prace – zauwazył Walter.**

**–Wcale nie – powiedzial Ian. – Beda upychac te niezywe ryby w puszk i sprzedawac je Amerykanom. Widzisz, Walterze, w dawnych czasach, zanim twoja matka wielozebnie zagryzla na smierc wszystkie ryby w Kolumbii Brytyjskiej, pros ci wiesniacy stali nad brzegiem z kijem w reku i, kiedy ryba przeplywala, walili ja w leb. Nie. Bezrobocia nie bedzie, to stworzy nowe miejsca pracy. Miliony puszek odpowiednio oznakowanych...**

**–Pamietaj – wtracila szybko Cynthia – ze on wierzy we wszystko, co ty wygadujesz.**

**–To, co mówie, to prawda – powiedzial Ian. – Choc moze nie w sensie doslovnym. Zabieram was na obiad – zwrócił sie do zony. – Wez kartki zywnosciowe i zalóz te niebieska bluzke, przez która ci widac cycki. W ten sposób zwrócisz na siebie uwage i moze zapomna wyciac nam kupony.**

**–Co to sa "cycki"? – spytal Walter.**

**–Cos, co szybko wychodzi z uzycia – powiedzial Ian – jak pontiac GTO. Sluza wylacznie jako ozdoba do podziwiania i macania. Ich funkcja zamiera. – Tak jest w naszej rasie, pomyslal, odkad pozwolilismy sie rzadzic tym, którzy zabijaja nie narodzonych, innymi slowy najbardziej bezbronne istoty na swiecie.**

**–Cycki – powiedziala surowo Cynthia – to gruczoly mleczone, które maja panie i które wytwarzaja mleko dla ich malych.**

**–Zwykle maja dwa – powiedzial Ian. – Cycek operacyjny i cycek awaryjny, na wypadek, gdyby w pierwszym zabraklo plynu. Proponuje eliminacje jednego etapu w tej calej manii likwidacji przedludzi. Wyslemy wszystkie cycki swiata do Centrów Powiatowych. Tam mleko zostanie z nich wyssane, rzecz jasna, mechanicznie, cycki stana sie bezuzyteczne i puste, i wtedy mlode wymra w sposób naturalny, przez pozbawienie pokarmu.**

**–Jest mleko w proszku – powiedziala Cynthia z zabójcza ironia. – Similac i różne inne. Przebiore sie przed wyjsciem – powiedziala i skierowala sie do sypialni.**

**–Wiesz – rzucil Ian w slad za nia – gdybys tylko mogla doprowadzic do uznania mnie za przedczlowieka, tobys mnie tam wyslala z największa chec. – I zaloze sie, dodal w mysli, ze nie bylbym jedynym mezem w Kalifornii, którego by tam wyslano. Byloby wielu innych. W tej samej sytuacji co ja, wtedy i teraz.**

**–Ciekawy projekt – dobiegl go stlumiony glos Cynthii; uslyszala go.**

**–To nie jest tylko nienawisc do bezbronnych – mówił Ian Best. – Chodzi o cos wiecej. Nienawisc do czego? Do wszystkiego, co rosnie? – Usmiercacie je, myslal, zanim sa dosc duze, zeby miec miesnie, umiejetnosc i taktyke walki; tak duze, jak ja w porównaniu z toba, z moja rozwinieta muskulatura i waga. Jest o wiele latwiej, kiedy ten drugi czlowiek, powinienem byl powiedziec przedczlowiek, sni plywajac w wodach plodowych i nawet nie wie, ze musi sie bronit. Gdzie sie podzialy macierzynskie cnoty? zadawal sobie pytanie. Czas, kiedy matki szczególnie bronily wszystkiego, co male, slabe i bezbronne?**

**Winne jest nasze współzawodniczące społeczeństwo, uznał. Przetrawanie najsilniejszych. Nie najlepiej przystosowanych, tylko tych, którzy mają wiedzę. I nie chcą jej przekazać następnemu pokoleniu. Zli i potężni starzy przeciwko bezsilnym i łagodnym nowym.**

**–Tato – spytał Walter – czy naprawdę pojedziemy na wyspę Vancouver w Kanadzie, będziemy**

**jeszcze naturalna żywność i nie będziemy się musieli niczego bać?**

**–Jak tylko będę miał pieniądze – powiedział Ian bardziej do siebie niż do syna.**

**–Wiem, co to znaczy. To samo, co twoje "zobaczymy". Nigdzie nie pojedziemy, prawda? – Wpatrywał się z napięciem w twarz ojca. – Ona nam nie pozwoli, jak nie pozwalała zabrać mnie ze szkoły i na inne rzeczy. Ona zawsze stawia na swoim.**

**–Któregoś dnia to zrobimy – powiedział Ian z determinacją. – Może nie w tym miesiącu, ale kiedyś na pewno. Obiecuje.**

**–I nie ma tam cięzarówek aborcyjnych?**

**–Nie, w Kanadzie obowiązują inne prawa.**

**–To pośpieszmy się, tato. Proszę cie.**

**Jego ojciec zamieszał sobie drugą szklanke szkockiej z mlekiem i nie odpowiedział: mine miał ponura i nieszczęśliwa, jakby się miał zaraz rozplakać.**

**W skrzyni cięzarówki aborcyjnej kulila się trójka dzieci i jeden dorosły. Wstrzasani na zakretach, powstrzymywani byli siatka druciana, która uniemożliwiała im kontakt fizyczny, i ojciec Tima Gantro boleśnie odczuwał tę przymusową separację od syna. Koszmar w biały dzień, myślał. W klatce jak zwierzęta; jego szlachetny gest naraził go tylko na dalsze cierpienia.**

**–Dlaczego powiedziałeś, że nie znasz algebry? – spytał Tim. – Wiem, że znasz nawet wyższamatematykę, chodziłeś do Stanford.**

–Chce wykazać, że powinni albo zabić nas wszystkich, albo nie zabijając nikogo. A nie dzielić nas według jakichś arbitralnych, biurokratycznych kategorii. "Kiedy dusza wstępuje w ciało?" Co to za pytanie w naszych czasach? Toż to średniowiecze! – W gruncie rzeczy, myślał, to tylko pretekst, pretekst do zerwania na bezbronnych. A on nie był bezbronny. Cieżarówka aborcyjna wiozła dorosłego człowieka z całą jego wiedzą, z całą jego przebiegłością. Jak oni sobie ze mną poradzą? Wyraźnie mam wszystko to, co inni ludzie. Jeżeli oni mają dusze, to ja też mam dusze. Jeżeli nie, to i ja nie mam, ale na jakiej realnej podstawie mogliby mnie "uspic"? Nie jestem mały i słaby, nie jestem nieswiadomym, bezbronnym dzieckiem. Ja mogę podjąć spór z najlepszymi prawnikami, z samym prokuratorem okręgowym, jeżeli będzie trzeba.

Jeżeli zlikwidują mnie, myślał, to będa musieli zlikwidować wszystkich, włącznie z sobą. To jest oszukawcza gra, za pomocą której ci na górze, którzy zajmują wszystkie ekonomiczne i polityczne pozycje, bronią się przed młodszymi, mordując ich, jeżeli trzeba. W tym kraju, myślał, pełno jest nienawisci, nienawisci starych do kraju, starych do młodych, nienawisci i strachu. Cóż więc ze mną robią? Należy do ich grupy wiekowej, a zostałem uwieziony w ciężarówce aborcyjnej. Ja stanowię dla nich inny rodzaj zagrożenia; jestem jednym z nich, ale stoję po drugiej stronie, razem z bezdomnymi kotami i psami, dziećmi i niemowlętami. Niech się nad tym głowia, niech się pojawi nowy Tomasz z Akwinu, który to potrafi rozwikłać.

–Ja umiem tylko dzielić, mnożyć i odejmować – powiedział na głos. – Z ułamkami mam już kłopoty.

–Ale kiedyś to umiałeś? – powiedział Tim.

–To śmieszne, jak człowiek zapomina takie rzeczy po szkole. Wy, dzieciaki, pewnie jesteście w tym lepsi ode mnie.

–Tato, czy oni cie zlikwidują? – spytał jego syn Tim ze strachem. – Ciebie nikt nie zaadoptuje. Nie w twoim wieku. Jesteś za stary.

–Spróbujemy – powiedział Ed Gantro. – Weźmy dwumian. Jak to szło? Wyleciało mi z głowy: coś tam a i b. – Ulotniło mi się z głowy wraz z niesmiertelną duszą... rozesmiał się sam do siebie. Nie zdam testu na dusze. W każdym razie, jeżeli będę mówić tak, jak teraz. Jestem jak pies w rynsztoku, jak zwierze w rowie.

Cały błąd zwolenników usuwania ciąży, myślał, od początku polegał na tym, że arbitralnie ustalili granice. Do embriona nie stosują się prawa Amerykańskiej Konstytucji i może być legalnie zabity przez lekarza. Ale starszy płód był "osoba ludzka" i miał prawa, przynajmniej przez jakiś czas. A potem zwolennicy aborcji zdecydowali, że nawet siedmiomiesięczny płód nie jest "człowiekiem" i może być zabity przez dyplomowanego lekarza. A potem nowo narodzone dziecko... to właściwie jarzyna, nie potrafi skoncentrować wzroku, nic nie rozumie, nie mówi –

argumentowało proaborcyjne lobby w sądzie i wygrało dzięki tezie, że noworodek jest tylko plodem na skutek przypadkowego procesu usunięty z organizmu. Ale, nawet wtedy, gdzie należało przeprowadzić ostateczną granicę? Kiedy dziecko po raz pierwszy się uśmiechnie? Kiedy wypowie pierwsze słowo, czy kiedy po raz pierwszy sięgnie po upatrzoną zabawkę? Legalna granica była bezlitośnie odpychana coraz dalej i dalej. I wreszcie teraz najbardziej okrutna i arbitralna definicja: zdolność do rozwiązywania zadań algebraicznych. W ten sposób starożytni Grecy z czasów Platona nie byli ludźmi, gdyż nie znali algebry, tylko geometrie. Algebra była znacznie późniejszym wynalazkiem arabskim. Arbitralność, i to nie teologiczna, tylko prawna. Kościół od dawna, właściwie od samego początku, twierdził, że nawet zygota i późniejszy embrion to są równie święte formy życia, jak wszystkie inne na ziemi. Kościół wiedział, co wyniknie z arbitralnych ustaleń, kiedy "dusza wstępuje w ciało", albo w nowoczesnej terminologii, kiedy "osoba zyskuje pełnię praw ludzkich". Nie było teraz nic smutniejszego niż widok małego dziecka bawiącego się dzielnie na podwórku, usiłującego żyć z nadzieją i poczuciem bezpieczeństwa, którego nie ma.

Cóż, pomyślał, zobaczymy, co ze mną zrobią. Mam trzydzieści pięć lat i magisterium z Uniwersytetu Stanforda. Czy wsadzą mnie na trzydzieści dni do klatki z plastikową miską na jedzenie, źródłem wody i nie osłoniętym miejscem do załatwiania się? A jak nikt mnie nie zaadoptuje, to czy posła mnie na automatyczną śmierć razem z innymi? Dużo ryzykuje, myślał. Ale dziś złapali mojego syna i ryzyko zaczęło się od tego, nie od chwili, kiedy wystąpiłem i sam zgłosiłem się na ofiarę.

Spojrzał na trzech przestraszonych chłopców i spróbował wymyślić coś, co mógłby im powiedzieć, nie tylko synowi, ale wszystkim trzem.

–Posłuchajcie – powiedział cytując – "Zdradzę wam świętą tajemnicę. Śmierć to nie jest sen"... -Tu zapomnial dalszy ciąg. – "Zbudzimy się – powiedział improwizując – w jednym błysku. W mgnieniu oka".

–Spokój tam – huknął kierowca ciężarówki przez zakratowane okienko. – Nie mogę się skupić na tej pieprzonej drodze. Wiedźcie – dodał – że mogę wam tam puścić gaz i wszyscy stracie przytomność. To środek na rozrabiających przedludzi. Więc jak, zamkniecie się, czy mam nacisnąć guzik?

–Nie będziemy więcej rozmawiać – powiedział Tim, posyłając ojcu przerażone spojrzenie niemej prośby. Błagając go milczaco, żeby się podporządkował.

Jego ojciec zamilczał. Nie mógł znieść tego spojrzenia i skapitulował. Tak czy inaczej, rozumował, to, co dzieje się w ciężarówce, nie jest istotne. Ważne zaczęło się w Centrum Powiatowym – dokąd na pierwszy sygnał czegoś niezwykłego zjada się reporterzy gazet i telewizji.

Jechali wiec w milczeniu, kazdy ze swoim wlasnym strachem, ze swoimi myslami. Ed Gantro pograzyl sie w zadumie, doskonalac w myslach plan dzialania. To, co musi zrobic. Nie tylko dla Tima, ale dla wszystkich kandydatów do poporodowej aborcji. Obmyslal różne warianty, podczas gdy ciezarówka podskakujac i grzechocac jechala przed siebie. Skoro tylko ciezarówka zaparkowala na zamknietym parkingu Centrum Powiatowego i otwarto

jej tylne drzwi, Sam B. Carpenter, który kierowal cala ta piekielna operacja, podszedl i zajrzal do srodka.

–Masz tam doroslego czlowieka, Ferris – powiedzial. – Czy zdajesz sobie sprawe, co zrobiles? Przywlokles tu rozrabiacza.

–Ale on twierdzil, ze nie zna matematyki poza dodawaniem i odejmowaniem – powiedzial Ferris.

–Prosze mi dac swój portfel – zwrócił sie Carpenter do Eda Gantro. – Chce znac panskie prawdziwe nazwisko, numer ubezpieczenia, numer okregu policji, w którym pan stale zamieszkuje, dalej, chce wiedziec, kim pan naprawde jest.

–To tylko jakis wiesniak – wtracil Ferris, patrzac, jak Gantro oddaje swój wymiety portfel.

–I chce tez sprawdzic odciski jego stóp – dodal Carpenter. – Pelny zestaw. Natychmiast. Priorytet A. – Lubil mówic w tym stylu.

Po godzinie otrzymal dane z dzungli polaczonych policyjnych komputerów z pseudopastoralnej, niedostepnej enklawy w Virginii.

–Ten facet jest absolwentem Uniwersytetu Stanforda, magistrem matematyki. Potem zrobil magisterium z psychologii, co, niewatpliwie, wykorzystuje teraz na nas. Musimy sie go stad pozbyc.

–Mialem kiedys dusze – powiedzial Gantro – ale ja stracilem.

–W jaki sposób? – spytal Carpenter, nie widzac nic na ten temat w kartotece Gantro.

–Zator. Czesc kory mózgowej, w której miescila sie moja dusza, ulegla zniszczeniu, kiedy przez nieostrozność nalykalem sie oparów srodka owadobójczego. Dlatego mieszkalem z moim tu obecnym synem na odludziu, odzywiajac sie korzonkami i pedrakami.

–Zrobimy panu encefalogram – powiedzial Carpenter.



**–Co to jest? – spytał Gantro. – Jakis test mózgowy?**

**–Prawo ustala, ze dusza wstepuje w wieku dwunastu lat – zwrócił sie Carpenter do Ferrisa – a ty przywozisz mi tutaj tego doroslego osobnika plci meskiej, dobrze po trzydziestce. Mozemy zostac oskarzeni o morderstwo. Musimy sie go pozbyc. Odwiez go dokladnie tam, skad go zabrales i wysadz go tam. Jezeli nie zechce dobrowolnie wysiasc, daj mu gazu, az sie sfajda i wyrzuc go. To jest kwestia bezpieczenstwa narodowego. Od tego zalezy twoja praca i twoja pozycja w swietle kodeksu karnego tego stanu.**

**–Moje miejsce jest tutaj – upieral sie Ed Gantro. – Jestem tepakiem.**

**–Zabierz tez jego dzieciaka – powiedzial Carpenter. – To pewnie jakis matematycznie uzdolniony mutant, jakich pokazuja w telewizji. Oni cie podpuszczaja; pewnie juz zdazyli zawiadomic dziennikarzy. Zabierz ich wszystkich z powrotem, zagazuj ich i wyrzuc tam, gdzie ich zlapales, a jak nie, to gdzie indziej, byle dalej.**

**–Nie wpadaj w panike – powiedzial z gniewem Ferris. – Zróbmy temu Gantro encefalogram i USG, i moze bedziemy musieli go wypuscic, ale tych trzech przedludzi...**

**–Wszystko geniusze – powiedzial Carpenter. – To czesc pulapki, tylko ty jestes za glupi, zeby wiedziec. Wyrzuc ich z ciezarówki poza nasz teren. I zaprzeczaj, ze ich kiedykolwiek widziales na oczy. Trzymaj sie tej wersji.**

**–Z samochodu! – rozkazal Ferris, naciskajac guzik unoszacy przegrody z siatki drucianej. Trzej chlopcy wysypali sie na zewnatrz, ale Ed Gantro pozostal w srodku.**

**–Nie chce wyjsc dobrowolnie – powiedzial Carpenter. – W porzadku, Gantro, usuniemy pana sila.**

**–Skinal na Ferrisa i obaj weszli do ciezarówki. W chwile później Ed Gantro znalazl sie na asfalcie parkingu.**

**–Teraz jest pan normalnym obywatelem – powiedzial Carpenter z ulga. – Moze pan twierdzic, co pan chce, ale nie ma pan zadnego dowodu.**

**–Tato – powiedzial Tim – jak sie dostaniemy do domu? – Wszyscy trzej chlopcy stloczyli sie wokół Eda Gantro.**

**–Mozna by po kogos stamtad zadzwonic – powiedzial maly Fleischhacker. – Zaloze sie, ze jezeli ojciec Waltera Besta ma paliwo, to po nas przyjedzie. On duzo jezdzi, ma specjalne kartki.**

**–On i jego zona stale sie klóca – zauwazył Tim. – Dlatego on lubi jezdzić sam**

nocami; to znaczy bez niej.

–Ja tu zostaje – powiedział Ed Gantro. – Chce do klatki.

–Tato, możemy odejść – zaprotestował Tim szarpiać ojca za rękaw. – Przecież o to chodziło. Jak cie zobaczyli, to pozwolili nam odejść. Udalo się!

–Domagam się, żeby mnie zamknęto razem z przedludźmi, których tam macie – zwrócił się Ed Gantro do Carpentera wskazując na imponujący, pomalowany na wesoły zielony kolor budynek Centrum Powiatowego.

–Niech pan zatelefonuje do pana Besta – powiedział Tim. – On mieszka koło nas na półwyspie. Numer kierunkowy 669. Niech mu pan powie, żeby po nas przyjechał i on przyjedzie. Zapewniam pana. Bardzo proszę.

Carpenter poszedł do środka, do jednego z urzędowych telefonów Centrum i odszukał numer. Ian Best. Wybrał numer.

–Dodzwonił się pan pod częściowo nieczynny numer – odezwał się męski głos, niewatpliwie podpity. W tle Carpenter słyszał napastliwy jazgot wścieklej kobiety dopiekającej Ianowi Bestowi.

–Panie Best – zaczął Carpenter – kilka znanych panu osób znalazło się tutaj, na rogu Czwartej i A w Verde Gabriel. Ed Gantro i jego syn Tim, chłopiec nazwiskiem Ronald albo Donald Fleischhacker i jeszcze jeden nie zidentyfikowany chłopiec. Maly Gantro twierdził, że pan chętnie przyjedzie tu po nich i zabierze ich do domu.

–Róg Czwartej i A – Ian Best milczał przez chwilę. – Czy to rakarnia?

–Centrum Powiatowe – poprawił Carpenter.

–Ty sukinsynu – powiedział Best. – Jasne, że po nich przyjadę, będę za dwadzieścia minut. Macie tam Eda Gantro jako przedczłowieka? Czy wiecie, że on jest absolwentem Uniwersytetu Stanforda?

–Jesteśmy tego świadomi – powiedział Carpenter bez cienia emocji. – Oni nie są zatrzymani; znaleźli się tu przypadkiem. Nie są, powtarzam, zatrzymani.

–Reporterzy ze wszystkich środków przekazu będą tam przede mną – powiedział Ian Best zupełnie trzeźwym głosem. Trzask. Odłożył słuchawkę. Wyszedszy na zewnątrz Carpenter zwrócił się do Tima:

–Widzę, że zrobiłeś mnie w zawiadomienie jakiegoś zacieklego aktywisty antyaborcyjnego. Sprytne, bardzo sprytne.

**Minelo kilka chwil i do bramy Centrum podjechała jaskrawoczerwona mazda. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna z jasną brodą, który z kamerą i mikrofonem swobodnym krokiem podszedł do Carpentera.**

**–Podobno macie tu w Centrum magistra matematyki ze Stanforda – spytał neutralnym, pogodnym tonem. – Czy mogę przeprowadzić z nim wywiad?**

**–Nie ma u nas takiej osoby – powiedział Carpenter. – Może pan sprawdzić w naszej księdze zatrzymanych. Ale reporter patrzył już na trójkę chłopców skupionych wokół Eda Gantro.**

**–Czy pan Gantro? – zawołał głośno reporter.**

**–Tak jest – odpowiedział Ed Gantro.**

**0 Jezus, pomyślał Carpenter. Zamknęliśmy go w jednym z naszych urzędowych pojazdów i**

**przywieźliśmy go tutaj. Sprawa trafi do wszystkich gazet. Już na parking wtaczała się błękitna**

**furgonetka ze znakami stacji telewizyjnej. A za nią dwa dalsze samochody.**

**Centrum Aborcji likwiduje magistra matematyki – zablysło w umyśle Carpentera. Albo –**

**Powiatowe Centrum Aborcyjne podejmuje bezprawne próby...**

**1 tak dalej. Wywiady w dzienniku wieczornym. Gantro, a potem, jak przyjedzie, Ian Best, który**

**pewnie jest prawnikiem, w otoczeniu magnetofonów, mikrofonów i kamer wideo.**

**Zasralismy sprawę, pomyślał. Paskudnie zasralismy. Szefowie w Sacramento cofną nam**

**nominacje, posła nas z powrotem do łapania bezdomnych psów i kotów. Kłops.**

**Kiedy Ian Best przyjechał swoim mercedesem na wegiel, był wciąż jeszcze lekko zamroczony.**

**–Czy ma pan coś przeciw temu, żebyśmy wrócili nieco dłuższą, ale za to bardziej malowniczą trasą? – zwrócił się do Eda Gantro.**

**–Któredy? – spytał Ed. Chciał już stąd odjechać. Mała fala dziennikarzy przepytala go i odpłynęła. Powiedział to, co miał do powiedzenia, a teraz czuł pustkę i chciał do**

domu.

–Przez wyspe Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej – powiedzial Ian Best. Ed Gantro usmiechnal sie.

–Te dzieciaki powinny pójsc prosto do łózek. Mój chlopak i tych dwóch. Do licha, przeciez oni nie jedli kolacji.

–Zatrzymamy sie przy budce McDonalda – powiedzial Ian Best. – A potem mozemy ruszyc do Kanady, gdzie sa ryby i duzo gór, na których wciaz jeszcze lezy snieg, nawet o tej porze roku.

–Jasne – powiedzial Gantro ze smiechem. – Mozemy tam pojechac.

–Chce pan? – Ian Best przyjrzal mu sie uwaznie. – Naprawde pan chce?

–Zalatwie kilka spraw, a potem, dlaczego nie, mozemy razem pojechac.

–Niech to szlag – jeknal Best. – Pan mówi powaznie.

–Tak. To prawda. Oczywiscie, musze uzyskac zgode zony. Nie mozna jechac do Kanady bez pisemnego stwierdzenia zony, ze ona nie przyjedzie. Zostaje sie wtedy legalnym imigrantem.

–To ja tez musze dostac pozwolenie od Cynthii.

–Da panu. Niech pan tylko zobowiaze sie wysylac jej pieniadze.

–Mysli pan, ze sie zgodzi? Ze pozwoli mi jechac?

–Na pewno – powiedzial Gantro.

–Naprawde pan mysli, ze nasze zony nas puszcza? – spytal Ian Best wspólnie z Edem wsadzajac chlopców do mercedesa.

–Moze ma pan racje. Cynthia chetnie sie mnie pozbedzie. Wie pan, jak ona mnie nazywa w obecności Waltera? "Agresywny tchórz" i tym podobnie. Nie ma dla mnie za grosz szacunku.

–Zony nas puszcza – powiedzial Gantro, ale wiedzial, ze to nieprawda. Obejrzal sie na kierownika Centrum, pana Sama B. Carpentera i tego kierowce ciezarówki Ferrisa, który, jak Carpenter powiedzial prasie i telewizji, byl od tego dnia zwolniony z pracy, a zreszta byl nowym i niedoswiadczoneym pracownikiem.

–Nie – powiedzial. – Nie puszcza nas, nikt z nich nas nie pusci.

**Ian Best niewprawnie manipulował skomplikowanymi przekładnikami prymitywnego silnika na węgiel.**

**–Dlaczego mają nas nie puscic; niech pan patrzy, stoja tam i nic nie robia. Co moga zrobic po tym, co pan powiedzial do telewizji i temu reporterowi z gazety?**

**–Nie o nich mi chodzi – powiedzial drewnianym glosem Gantro.**

**–Moglibysmy uciec.**

**–Jestesmy uwiezieni – powiedzial Gantro. – Uwiezieni bez szans na uwolnienie. Ale niech pan**

**spyta Cynthii. Nie zaszkodzi spróbowac.**

**–Nigdy wiec nie zobaczymy wyspy Vancouver i wylaniajacych sie z mgly wielkich oceanicznych promów? – spytal Ian Best.**

**–Kiedys na pewno zobaczymy – powiedzial Gantro, wiedzac, ze to klamstwo, absolutne klamstwo, tak, jak czasami mówiac cos wiemy, ze to absolutna prawda. Wyjechali z parkingu na ulice.**

**–Przyjemnie jest – rzucil Ian Best – byc znów na wolnosci, co? – Trzej chlopcy kiwneli glowami, Ed Gantro nie odezwal sie. Wolni, myslal. Wolno nam wrócić do domu, gdzie bedziemy uwiezieni w wiekszej sieci, w wiekszej ciezarówce niz ta mechaniczna, jakiej uzywa Centrum Powiatowe.**

**–To wielki dzien – powiedzial Ian Best.**

**–Tak – zgodzil sie Ed Gantro. – Wielki dzien, w którym zadano szlachetny i skuteczny cios w obronie wszystkich bezbronnych istot, wszystkiego, o czym mozna powiedziec, ze jest zywe.**

**–Nie chce wracac do domu – powiedzial Ian Best spogladajac na Eda Gantro w zwodniczym oswietleniu. – Chce jechac prosto do Kanady.**

**–Musimy pojechac do domu – przypomniał mu Ed. – Na jakis czas. Uregulowac sprawy. Kwestie prawne, zabrac niezbedne rzeczy.**

**–Nigdy tam nie dojedziemy. Do Kolumbii Brytyjskiej, wyspy Vancouver, Parku Stanleya, Zatoki Angielskiej, tam, gdzie hoduja zywnosc, trzymaja konie i gdzie sa oceaniczne promy -powiedzial Ian Best prowadzac.**

**–To prawda – potwierdzil Ed Gantro.**

**–Ani teraz, ani później?**

**–Nigdy.**

**–Tego sie wlasnie obawialem – Bestowi glos sie zalamal i zaczal prowadzic jakos dziwnie. – Podejrzewalem to od poczatku.**

**Jechali dalej w milczeniu, nie majac sobie juz nic do powiedzenia. Wszystko zostalo powiedziane.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-02-24**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*